

# Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

5

Ciąg dalszy.

Marya nie opuściła ani jednej sposobności, ani jednego środka, aby skradzione papiery wartościowe odzyskać. Dopiero, gdy te papiery będzie mieć w rękę, zadowolni się w zupełności. Wiedziała już bardzo wiele, ale to jej jeszcze nie mogło wystarczyć.

Nie tylko wzgląd na spodziewany zysk, jaki jej odzyskanie tych papierów przynieść miało, pchał ją do pracy, ale i serce jej nie pozostało w tej sprawie nietknięte. Od chwili, w której ujrzała Henryka Wilberta, biedna dziewczyna tęskniła jeszcze bardziej jak kiedyś za spokojem i za tem cichem szczęściem, jakie już jest przeznaczeniem kobiety.

Na chwilę przed północą wsiadła do doróżki, którą sobie przedtem zamówiła. Jechała w eleganckiej toalecie na bal maskowy, który rok rocznie odbywał się o tym czasie, a na którym znajdowała się zawsze śmietanka handlowego świata Nowego Jorku. Suknia mniszki okrywała jej toaletę, kiedy wchodziła na salę. W tej masce szła od grupy do grupy, rzucając tu i ówdzie jakieś słówko. Zdawało się, że kogoś szuka. W końcu, widocznie znużona, rzuciła się na fotel, stojący na uboczu. Po chwili w szeregów tańczących wysunął się ku niej człowiek w masce średniowiecznego rycerza i usiadł przy niej.

— Doniosę ja o tem ksieni, że ty tu noc przepędzasz! — szepnął jej.

— Ano trudno! — odparła. — Jeżeli już zawsze jesteś takim gadułą, to ja nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

Powiedziała to w żartobliwym tonie, podczas gdy serce jej zaczęło pukać, jakby chciało rozbić klatkę piersiową.

— To on — Henryk Wilbert — szeptało jej serce.

Postarała się o bilet dla niego i posłała mu go z prośbą, aby na balu zagadnął mniszkę. Przyszedł, bo przeczuwał, że wezwanie to pochodzi od tajemniczej istoty, która go obiecała wyratować.

— Piękna masko — ozwał się rycerz — wiem, kto jesteś. Pokażże mi nareszcie raz twoje prawdziwe oblicze, dobrze?

— Chciałbyś widzieć moją twarz, moją prawdziwą postać, tak, jaką jestem w rzeczywistości — głos jej drżał — a jeśli się rozczarujesz, jeśli w snach swoich wyśniłeś sobie piękniejszy obraz, aniżeli go znajdziesz w rzeczywistości? Zostańmy tak po staremu, pozwól mi doprowadzić moją sprawę do końca i zostać ci nieznaną. Możesz przypuszczać, że jestem stara i brzydka...

Podniosła się, chcąc odejść.

— Taką rękę i taką postać może mieć tylko młodość — przerwał jej. — Pokaż mi twą twarz. Chciała się cofnąć, ale on objął ją nagle i zdarł jej maskę z twarzy.

W radosnem zdumieniu, jakie go ogarnęło na widok przesłicznej twarzyczki, zatrzymał maskę przez kilka chwil w swych rękach. Kiedy Marya chciała ją mu wydrzeć, aby ją założyć na nowo, zauważyło ją już jakieś domino. Był to mężczyzna, który na widok jej cudownych rysów zatoczył się śmiertelnie przerażony i skrył się za filarem.

Marya, oparta na ramieniu Henryka Wilberta, oddaliła się. Wśród chaosu balowej sali spędziła z nim kilka szczęśliwych godzin, poczem, odebrawszy od niego przyrzeczenie, że za nią nie pójdzie, zniknęła. Ani jednym słówkiem nie wspomnieli oboje o rzeczach, które im na sercu ciążyły. Śmiali się i żartowali, rozmawiając o rzeczach obojętnych, czuli jednakże oboje, że nawiązał się pomiędzy nimi jakiś serdeczniejszy stosunek, bo ze słów ich promieniało jakieś serdeczne ciepło. Marya, opuszczając bal, czuła w sobie więcej odwagi, nowe siły do dokonania przedsięwzięcia, ale przyczyną tego nie była już nadzieja zysku — nie, ona chciała przywrócić honor ukochanemu człowiekowi, który z trwożliwą nadzieją patrzył w przyszłość. Nie pytał on się o nic, z ufnością zdał całą przyszłość swoją w jej ręce, nie odważył się nawet spytać o jej nazwisko, a nawet imię.

Kiedy znalazła się w westybulu, skręcając do wyjścia, szepnął jej jakiś głos:

— Francuzka pokojóweczka nauczyła się jednakże bardzo prędko po angielsku!

Odwróciła się przerażona, ale obok siebie nie mogła znaleźć nikogo, na któregooby mogło paść

jej podejrzenie. U podnóża schodów stało kilka kobiecych masek, gotowych do odjazdu.

Marya przypomniała sobie, że tuż obok niej zatrzymało się jakieś męskie domino w chwili, kiedy Henryk zdjął jej maskę z twarzy. Czyżby to był Robertson, który ją teraz śledził?

Sprawa zawikłała się przez to w najwyższy sposób. Jeśli się przekonał, że ona umie po angielsku, to wielka część planu, dotychczas tak przez nią dobrze przeprowadzanego, obracała się w niwecz.

Siadła do doróżki i podawszy dorożkarzowi adres, pograżyła się w głębokiem zamyśleniu. Tak była zajęta swemi myślami, że dopiero po dłuższej chwili zauważyła, iż jazda trwa absolutnie za długo. Wychyliła się przez okno i spostrzegła, że z szaloną szybkością oddalała się coraz bardziej od tej dzielnicy, do której miała jechać.

— Zdrada! — szepnęła, opierając się wygodnie o poduszki powozu, zdecydowana z całych sił stawić czoło wszystkiemu, co ją czeka.

— Dobrze! — myślała — pozwolę wam jechać, bo dowiem się w ten sposób, skąd mi grozi niebezpieczeństwo.

O siebie samą nie bała się ani chwili. Miała zawsze przy sobie genialną broń i wspaniałe środki obronne, które jej dotychczas pozwalały wychodzić zawsze zwycięsko z najtrudniejszych sytuacji, pomimo, że była tylko słabą kobietą.

Zaledwie miała czas spostrzedz, że znajduje się już poza miastem i jedzie po niewybrukowanej drodze. Powóz zatrzymał się nagle przed kratą ogrodu, otaczającego wspaniałą willę.

Do powozu przystąpiło dwóch ludzi.

— Proszę się nie obawiać, opuści pan ten dom zupełnie cało — rzekł jeden z nich.

— Ja się wogóle niczego nie boję! — odparła zimno.

— Może pani będzie łaskawą wysiąść?

— Z największą przyjemnością.

Marya wysiadła, a zwracając się do woźnicy, rzekła:

— Toż pan przywiózł mnie pod fałszywym adresem!

— Jakto? — odparł dorożkarz. — Małżonek pani polecił mi, abym panią tutaj przywiózł.

— Ah, tak! Znalazł mi pan męża! No, dobrze, mój kochany; mam tu pański numer; pociągnę ja pana do odpowiedzialności, jeśli mnie pan zdrowej i całej nie odwieziesz do domu!

— Tak, łaskawa pani, czyż pani tu nie mieszka?

— Wiesz pan zbyt dobrze, że nie; zostałeś pan przekupiony. Będziesz pan tutaj czekał na mnie, bo w przeciwnym razie ciężko pan za to odpokutujesz!

— A teraz jestem do usług — zwróciła się Marya do człowieka, który jej pomagał wysiąść z powozu. — Proszę, możemy się dalej bawić w ten bal maskowy.

— Proszę za mną! — odparł mężczyzna trochę zakłopotany, prowadząc ją szerokimi schodami na górę. Przed wspaniałą bramą stanął i zarzucił Maryi chustkę na głowę.

Pozwoliła na to; z warg jej nie wydarł się najslabszy nawet krzyk przestachu ni trwogi. Czuła, że dorosła do tego, co ją czeka, a przeczuwała, iż uprowadzenie to inscenizował Robertson, podczas jej obecności na balu, poznawszy ją w tym nieszczęsnym momencie, na początku zabawy, kiedy jej Wilbert zdjął maskę.

— Niech się pani niczego nie obawia! — powtórzył jej towarzysz.

— Ja się nie boję. Panowie jednak powinniście się obawiać, bo nademną czuwają ludzie, którzy mają większą moc, aniżeli wy wszyscy razem. Gdyby mnie tu nieszczęście spotkało, to panowie za to odpokutujecie!

Po dosyć długiej wędrówce po rozmaitych korytarzach, stanęli nareszcie przed jakimiś drzwiami i weszli do pokoju, gdzie jej zdjęto chusteczkę z oczu. Marya ujrzała, że znajduje się w elegancko urządzonej sali, oświetlonej kilkunastu świecznikami elektrycznymi.

Była sama.

Czekała może z dziesięć minut, kiedy do pokoju wszedł jakiś pan w masce.

— Czuje się pani tutaj nieswojo? — zaczął głosem, w którym czuć było ironię.

— Bynajmniej! — odparła ze zimną krwią.

— Pani żartuje!

— Cóż znowu!

— I pani się nie boi?

— Nie!

— W takim razie pani jest rzeczywiście odważna!

— Odwagę mam wrodzoną! — odparła pogardliwie.

— Jesteś pani zupełnie w mojej mocy!

— Tak? Tak pan sądzi?

— Tak, łaskawa pani, to nie ulega kwestii.

— No, najstraszniejszą rzeczą dla mnie to nie jest; urządzenie ma pan bardzo ładne, a ponieważ mnie pan tu przywiózł, więc sądzę, że z tego zbytku i mnie się coś dostanie.

Aż krzyknął, tak zdumiała go śmiałość tej kobiety, o której sądził, że będzie płakać i błagać go o litość.

— Ja tu pani dla przyjemności bynajmniej nie przywiozłem — odparł szorstko. — Chciałbym się zwrócić do pani z kilku bardzo poważnemi pytaniami.

— Ślicznie, więc pytajże pan!

— Czy pani jest identyczną z tą Francuską, która obecnie służy u pewnej pani nazwiskiem Harrington?

— To pana nic nie obchodzi.

— Ja wiem, że pani i ta Francuska, to jedna osoba.

— Więc pocóż się pan pyta?

— Bo chcę postępować porządnie, krok za krokiem.

— Dotychczas zachowałeś się pan nadzwyczaj porządnie, to muszę przyznać — zauważyła sucho Marya.

— Co to ma znaczyć, że pani się przedstawiła madame Harrington jako Francuzka, kiedy pani przecie mówi najczystszą angielszczyzną na świecie?

— To także pana nic nie obchodzi.

— Pani jest nadzwyczajnie uprzejmą — rzekł ironicznie.

— Nie wiedziałam, że pan będziesz wymagał uprzejmości odemnie wobec podstępного sposobu, jakim mnie dostałeś w swoją moc.

— Skończmy raz tę komedię — wybuchnął — i przejdźmy nareszcie do sprawy.

— W komedii, jaką gramy, pan jesteś przecie reżyserem, pan więc tylko może zaczynać.

— Zmieni pani może ton swoich słów, jeśli dom ten żywa opuści.

— Rzeczywiście? Bądź co bądź byłby to śmiały przeskok z komedii do tragedii.

— Niechże pani przestanie —

— Czego?

— Ja panią przejrzałem na wylot, moja łaskawa!

— Rzeczywiście?

— Tak jest. A teraz chciałbym wiedzieć, jaki pani ma przytem cel na oku?

— Jeśli mnie pan przejrzał na wylot, to pan to przecie powinien wiedzieć.

— Kto panią namówił do tego? — zapytał, przeskakując nagle na właściwy temat.

— Namówił? Dlaczego? Do czego?

— Aby szpiegować Julię Harrington i pilnować jej?

— To znowu nic pana nie obchodzi.

— Zrobiłaby pani lepiej, gdyby pani odpowiadała na moje pytania. Ja chcę odpowiedzi, choćbym ją sobie nawet własnymi rękoma miał wymusić.

— Ah, więc pan grozi?

— Pewnie, i tak zrobię! A teraz pytam się po raz ostatni, z czyjego polecenia i w jakim celu szpieguje pani Julię Harrington?

— Ja nie szpieguję madame Harrington?

— A ja pani mówię, że pani to robi.

— Nie i jeszcze raz nie!

— Naprawdę pani kłamie.

— Myli się pan. Zadaniem mojem jest obserwować kogo innego.

— Kogo innego? A kogóż?

— Pana Grzegorza Robertsona!

Człowiek w masce zatoczył się w tył.

— Rany Boskie! O czem pani myśli?

— Teraz odpowiadam na pańskie pytania i znowu pan nie jest zadowolony — roześmiała się Marya szyderczo.

— Do kroćset, niechże pani raz szydzić przestanie, bo ja panią potrafię zmusić do tego!

— Chciałabym widzieć!

— Dlaczego pani obserwuje pana Robertsona?

— To pana nic nie obchodzi.

— To mnie obchodzi!

— Ja panu wierzę, że to pana obchodzi, panie Robertson, ale jednak tego panu nie powiem. Niech pan zdejmie maskę. Przecież pan chyba nie sądzi, że ja się dam oszukać kawałkiem czarnego płótna.

— To szatan nie kobieta! Kto ty jesteś?